

# Stanisław Mikke

---

## W życiu, w literaturze i w Princeton

---

Palestra 46/3-4(531-532), 82-85

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stanisław Mikke

## W życiu, w literaturze i w Princeton

Ponoć już po skończeniu dwudziestego roku życia nasze szare komórki giną milionami. Gdy przed laty to przeczytałem i powtórzyłem znanemu pisarzowi, ten (miał wówczas za sobą blisko trzy dwudziestki), żachnął się:

„Przed takimi stwierdzeniami – rzekł – trzeba się bronić”. Jest obrona, pocieszyłem. Szare komórki co prawda giną, ale wzrasta liczba połączeń nerwowych, te zaś odpowiadają za skojarzenia.

Czytam w „Rzeczpospolitej”, że rzecznik dyscyplinarny Akademii Medycznej w Gdańsku „bada sprawę lekarza – łapówkarza, jednego z bohaterów powieści pt. „Mercedes-Benz” Pawła Huellego. Bohaterem książki jest neurochirurg, który bierze pieniądze za leczenie. Autor nazwał go doktorem Elefantem. Zajął się tym wszystkim Senat tam-

tejszej Akademii, albowiem w powieściowej postaci dopatrzonego się postaci rzeczywistej. Zawrzało, jak donosiły i inne środki przekazu, w gdańskim środowisku lekarzy. Ale głośno nie tylko tam, także w literackim świecie. „Wszystko w jego prozie jest najwyższej jakości” – napisał o tym pisarzu w „Przekroju” wybitny krytyk Tadeusz Nyczek. No więc jak tu się dziwić zainteresowaniu książką.

Zanim jednak sięgnąłem po tę pozycję, zapewne wskutek wzrostu liczby połączeń nerwowych pamięć natychmiast otworzyła się na inną historię. Ponieważ niektórzy z jej animatorów zeszedli byli z tego świata, tym bardziej *nomena sunt odiosa*.

Dawno, dawno temu (no tak, po takim pisaniu nie powinienem się dziwić, że ci, którzy znają mnie tylko z lektury,

gdy mnie zoczą, mówią: myślałam/em, że pan mocno stary i wszystko ma już za sobą), w pewnym mieście opodał wielkiej aglomeracji funkcjonował kierownik – tak go określmy – jednego z organów wymiaru sprawiedliwości. Ktoś kiedyś powiedział o nim: perwersyjna inteligencja. Jeśli się zgodzić, to jedno i drugie w wymiarze powiatowym. Ale ów pan X odznaczał się i innymi cechami. Kunktatorem był najwyższej klasy. Bojaźń przed władzą, zwłaszcza partyjną, popychała go, pał sześc!, gdyby tylko do zachowań komicznych, ale i takich, które wyrządzały niemałe krzywdy.

X lubił otaczać się, jak to bywa u zakompleksionych i podszytych strachem, gorliwymi pochlebcami. Nie znosił zaś tych, którzy czymkolwiek, a zwłaszcza już samodzielnością się wyróżniali. I znajdował upodobanie w szydzeniu z nich, a jeśli tylko miał sposobność, w dręczeniu. Przyglądał się temu wszystkiemu ktoś, kto coś tam pisywał. Czasy były podłe, ale jego kawałki literackie tu i ówdzie drukowano. Mało kto to zauważał. A już nikt nie przypuszczał, że pracuje nad czymś większym. *Co to się działo, co się działo...* gdy ukazała się powieść. Ktoś od razu zauważył, że nie tyle jest z kluczem co z wytrychem. W jednym, zresztą całkowicie epizodycznym bohaterze, odczytano zachowania i czyny X-a. Autorowi z wielkim rozbawieniem powtarzano – a celowali w tym pochlebcy – hipokryci, reakcje X-a na książkę, którą ktoś skwapliwie mu podsunął.

Chcąc odepchnąć od siebie podejrzenia, że to on został skarykaturowany, kolejnych rozmówców zagadywał:

„– Ale ten ... zrobił na szaro profesora L.”.

L.? – pytał każdy ze zdumieniem, bo znany profesor prawa nijak się miał do literackiej postaci. „– Jak to? – wołał ziryutowany X. – Nie rozpoznajecie tego naukowego hochsztaplera. Przecież choćby kochanka tego bohatera – kretyna. Wypisz, wymaluj pani Grażynka, sekretarka L.”. Mnożył biedak absurdalne rozszyfrowania popadając w coraz większą śmieszność.

Wkrótce dobrze zapowiadający się autor wyjechał do innego miasta i pewnie powiatową wesołością sprawa by się skończyła, gdyby pośród gnębionych nie znajdował się ktoś, kto zapowiadał się po cichu (i może dlatego X na swoje nieszczęście w porę tego nie zauważył) na całkiem innej niwie. Ku zaskoczeniu został drugim sekretarzem komitetu powiatowego partii. Której partii? – zapyta młodzież. Czy odpowiedź, że siły przodującej i jedynej zarazem będzie zadawalająca?

Na nic nie pomogły umizgi X-a do byłego podwładnego, a teraz mocnego sekretarza partii, któremu przypadła opieka nad pionem porządku i sprawiedliwości. Poprzednim pisywał – komuś się z tego zwierzył – przemówienia. Ten nowy takich pomocy nie potrzebował. I nie zamierzał puścić płazem wcześniejszego dokuczania. Przypuszczalnie zadbał, by odnośne fragmenty, skądinąd dramatycznej opowieści, poznali inni członkowie powiatowej egzekutywy. Pierwsza okazja odplaty pojawiła się przy rocznej partyjnej ocenie osób na stanowiskach kierowniczych, a pozostających w tak zwanej nomenklaturze poszczególnych instancji partyjnych. Podobno obowiązywała punktacja od

zera do iluś tam, w różnych płaszczyznach: zawodowej, stosunku do ludzi, pewnie i do partii. X złapał dwa zera, co było równoznaczne z cofnięciem rekomendacji. Od tego rodzaju wyroków partyjnych konwektykli nie było skutecznych odwołań. Z dnia na dzień X, ulubieniec swoich przełożonych, stał się trędowatym. Musiał odejść nie tylko z kierowniczego stanowiska, ale rozstał się z wymiarem sprawiedliwości, znajdując bezpieczny azyl na rencie inwalidzkiej. A drugi sekretarz nie krył, że „pomocniczym argumentem” w dyskwalifikującej ocenie była rzeczona powieść. Tak, przyznawał, jej akcja toczyła się w środowisku naukowym a nie w sądownictwie, tak, prawda, że to fikcja literacka, ale sami wiecie ...

To były inne czasy, wręcz inny świat. Ale, jak widać, wyczytywanie z literatury materiału dowodowego zdarza się i dziś, osiągając podobny stopień śmieszności. Ktoś udatnie zażartował: od literatury do prokuratury jeden krok. Jak w rzeczywistości potoczą się losy tego, a może tych, u których rozpoznano zachowania powieściowego dr. Elefanta? Znając nasze wężące środki przekazu, można mieć pewność, iż nie zgubią tropu i powiadomią szeroką publiczność o epilogu dopisanym przez uważnych odbiorców prozy.

Książka Pawła Huellego wpisała się w czas ostrej krytyki lekarzy. Jest coś charakterystycznego w tych zmasowanych akcjach raz przeciwko adwokatom, innym razem przeciwko sędziom lub prokuratorom. Za każdym razem mamy do czynienia z odżegnywaniem się od uogólnień, które jednak zawsze są końcowym efektem tych akcji. Zarzuty

mają tę samą naturę. Czyny przestępne, do których ma dochodzić skutek naruszania etyki zawodowej.

Można odnieść wrażenie, iż słowo etyka wypowiada się teraz i czyta znacznie częściej niż to kiedyś było. Wówczas mówiono po prostu o przyzwoitości. Czy jej poprzeczka była ustawiona wyżej niż dzisiaj, czy była powszechniejsza? W każdym razie samo przywoływanie i odmienianie najlepiej brzmiącego słowa na nic się zda. Tym bardziej, że z samą dziedziną etyki zaczyna być różnie. I żeby tylko dziwnie. Etykiem się zwie i za takowego, ba, wybitnego, uznawany jest przez niektórych, Australijczyk Peter Singer, który swe *credo* zawarł w książce pt. „Etyka praktyczna”; od dwóch lat dzierży on katedrę bioetyki na prestiżowym amerykańskim uniwersytecie Princeton.

Rektora tej uczelni dla wybranych nie odstrasza ani liczne protesty, ani nawet wstrzymanie pomocy finansowej przez absolwenta tej uczelni, miliardera Steve’a Forbesa. Nazywa zatrudnionego profesora „najbardziej wpływowym z żyjących etyków”. Co może oznaczać jego „wpływowość”, jeśli byłaby czymś rzeczywistym, uprzytamnia wywiad, jaki udzielił „Spiegłowi” (przedruk „Forum”).

„No cóż – mówi Peter Singer – narodziny są wydarzeniem, które ma już pewne znaczenie, ponieważ od tej chwili nie tylko matka może decydować, czy jej dziecko ma nadal żyć.(...) Mimo wszystko jednak nie postrzegam narodzin jako absolutnego przełomu, kiedy można powiedzieć: przedtem płód nie miał żadnych praw, natomiast

po urodzeniu się istota ta ma takie samo prawo do życia jak każdy zdrowy, dorosły człowiek”.

Dziennikarze indagowali: „Łączy pan najwyraźniej prawo do życia ze zdolnością do samoświadomości. Od kiedy można tę zdolność stwierdzić u dzieci? Kiedy dziecko ma sześć miesięcy? Dwa lata? Czy może u czterolatka?”

„Trudno powiedzieć – mówi filozof, kształcący elitarną amerykańską młodzież. – Zależy od tego, co dokładnie rozumie pan pod pojęciem samoświadomości. Skłaniam się do stwierdzenia, że powstaje ono w ciągu pierwszego roku życia. Do tego momentu można na różne sposoby chronić życie rozwijającego się dziecka. Jednakże uważam, że nie można jednoznacznie powiedzieć: zabicie takiego dziecka jest taką samą zbrodnią jak morderstwo dojrzałego, w pełni świadomego człowieka. (...) Proponowałem kiedyś, żeby wprowadzić okres przejściowy 28 dni po urodzeniu, po których dopiero nabywałoby pełnię praw. Jest to co prawda arbi-

tralnie wybrany moment, który zapożyczyliśmy z idei pochodzącej ze starożytnej Grecji. Dałoby to jednak rodzicom czas na podjęcie decyzji”.

„Oznacza to – pytali dalej dziennikarze – że do tego czasu rodzice mogliby zabić swoje dziecko, po prostu dlatego, że go nie chcą?”

„Zależałoby to – odpowiada Singer – od okoliczności. We wszystkich krajach rozwiniętych zapotrzebowanie adopcyjne na jako tako zdrowe dzieci jest zdecydowanie większe niż podaź. Dlaczego więc mieliby zabijać dziecko, skoro mogliby je oddać do adopcji?”

„Der Spiegel” – „A dzieciom już nie „jako tako zdrowym” pozwalałoby się po prostu umrzeć?”

Odpowiedź tego, o którym mawia się, że jest reprezentantem „bezwzględnej etyki przyszłości” brzmiała: „Chrześcijaństwo przywykli uważać, że wszystko co robią, stanowi postęp moralny. Miałbym tu swoje wątpliwości”.

Peter Singer to perwersyjna inteligencja? Czy może coś całkiem innego?